

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 11 LUTEGO 1928 ROKU

NR 7

TREŚĆ NUMERU: Opieka nad więźniami—*Zofja Miszewska*. Kraków i Warszawa w 1813 roku—*Anna z Krjewskich Nakwaska*. Wiersze: „Sułtańskie dzieci”, „Nastrój”, „Nad grobem wiewiórki” — *M. S. Starzewska*. Przygody błękitnych możliwości (c. d.) — *M. H. Szpurkówna*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Puchar, rzeźbionv krwawemi łzami ojców — *Stefanija Podhorska - Okołow*. Z teatrów — *S. P. O.* Ekonomiczne opalanie — *Inżynier Tadeusz Ingwer*. Przesadzanie drzew starszych—*San. Schönfeld*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek: „Mody i Roboty”: Do ślubu — *Well*. Bluzka - żakiecik. Dodatek „Kultura Ciała”: Problem malowania twarzy — *Dr. J. Switalska*. Technika malowania się — *J. Lewińska*. Żylaki, wrzody podudzia i ich leczenie — *Dr. Jan Zaorski*. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek powieściowy: „Tydzień w raju” — *Marino Moretti*— autoryzowany przekład z włoskiego *Franciszka Baturewicza*. Arkusz wzorów.

OPIEKA NAD WIĘZNIAMI

Kilka słów o działalności Patronatu (Tow. Opieki nad więźniami)

Bardzo mi przykro, ale i ten artykuł będę musiała zacząć od skonstatowania faktu, że... czasy są powojenne. Doskonale zdaję sobie sprawę, że tego rodzaju podchodzenie do tematu trąci poprostu manjerą, ale cóż zrobić, kiedy, czego się tknąć, w jakakolwiek sprawę wejrzeć głębiej—wszystko znamionuje wielką różnicę między życiem przedwojennem, a obecnem. Życiem i ludźmi.

Ludzie „z przedwojny“ jakoś bardziej serjo brali na swoje barki odpowiedzialność społeczną, wiedząc, że w nich samych leży moc zwalczania zła, które zrodziła nienawiść wrogiego rządu. Ludzie z wolnej Polski, pochwycawszy oburącz i radośnie swą Niepodległość, orzekli, że najważniejsze się stało i że już „nic po nich“ w tem, przez własnego gospodarza rządzeniem, państwie. Rozumowali, poniekąd, słusznie, że Ideał uległ przewartościowaniu, lecz tego przewartościowania nie objęli całkowicie: nie pojęli, że patriotyzm, który był jedyną i najważniejszą cnotą przed wojną, teraz zeszedł do rzędu szeregu cnot najważniejszych, i że słowu — polak, może się już obecnie przeciwwazyć słowo—człowiek.

Taka postawa powojennego społeczeństwa, przekreślająca cały szereg czynów w imię niepotrzebności, skazała na zagładę mnóstwo instytucyj i stowarzyszeń, których celem mógł i powinien stać się humanitaryzm.

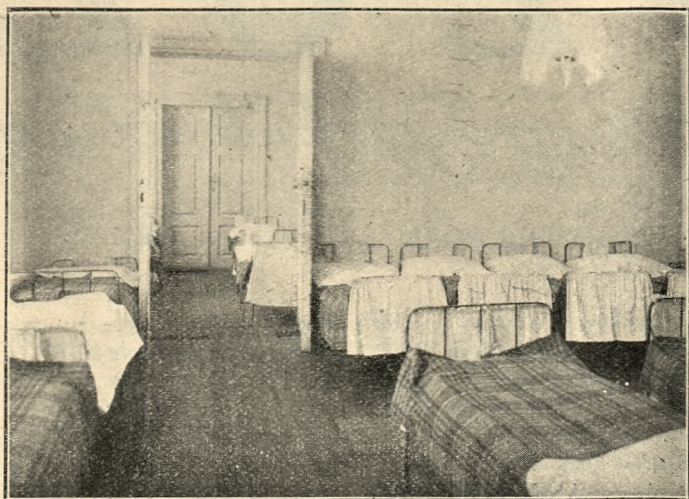
Bardzo charakterystycznym pod tym względem przykładem jest niewielkie zainteresowanie się społeczeństwa Patronatem (Towarzystwem Opieki nad więźniami).

Dawniej, za czasów niewoli, gdy więzienie nie było dla nas czemś dalekiem, oderwanem bezapelacyjnie od naszego czystego i pachnącego dobrą opinią życia, gdy nie było dla nas tylko występkiem bandyty, lecz często cierpieniem naszych najbliższych—Patronat żył pełnią życia. Pociągał społeczeństwo ku niemu, tak zwany współczujący patriotyzm, który jest jednak bardziej bliski sercu, aniżeli zwykła wszechczłowiecza litość; zaś drogą bolesnych starań i zabiegów około losu więźniów politycznych przeszło do serc ludzkich zainteresowanie się niedolą kryminalistów, gdyż poprostu trudno było przejść obojętnie koło jednej niedoli, śpiesząc z pomocą drugiej. I właśnie na tem gorącym zainteresowaniu społeczeństwa budowała się dola Patronatu.

Przytem społeczeństwo nie było odosobnione w swoich dobrych chęciach: rząd rosyjski, dla tych, czy innych powodów, gorąco popierał działalność Patronatu, decydując się nawet na daleko idące ustępstwa. Nie brał jednak inicjatywy w swoje ręce, dając tym sposobem już pole do działania Patronatowi.

Akcja pomocy więźniom rozgrzewała tysiące serc, tempo pracy mierzyło się zapalem, i wówczas wszystkiego mogło zabraknąć Patronatowi, ale nigdy nie brakowało mu poparcia ze strony społeczeństwa.

Teraz, po wojnie, zainteresowanie się akcją pomocy więźniom osłabło znacznie. Z chwilą, gdy więzienie przestało być dla nas synonimem bohaterstwa, a stało się jedynie siedliskiem grzechu—odeszliśmy sercami od niego, nie mogąc jakoś zrozumieć konieczności walki ze złem w ten, czy inny sposób. Staran-



Schronisko dla dzieci więźniów. Sypialnia.



Schronisko dla dzieci więźniów. Jadalnia.

nie, jak Piłat, umywamy ręce od występków innych i boimy się nawet spojrzeć w ich stronę, by nie zabrudzić naszej bezgrzesznej białości.

Obecnie działalność Patronatu idzie wyraźnie w dwóch kierunkach: opieki nad więźniami podczas odbywania kary, oraz zajęcia się ich losem po wyjściu z więzienia. Prócz tego Patronat otacza opieką rodziny więźniów.

Opieka wewnątrz więzień jest postawiona dobrze. Naznaczony z ramienia Patronatu kurator, czy kuratorka, odwiedza dwa razy na tydzień więzienie, udzielając porad i załatwiając wszystkie sprawy więźnia. Porad prawnych udziela specjalnie do tego zobowiązany kurator-prawnik. Oczywiście, że już od dobrej woli i serca danego członka Patronatu zależy nawiązanie ścisłego kontaktu z przestępcami i podejście do nich jaknajbardziej bezpośrednie. O ile mogłam stwierdzić, kontakt ten istnieje i daje bardzo dobre wyniki, a jak potrzebna jest tego rodzaju troskliwość z zewnątrz więzienia,—dowodzą dane statystyczne. Np.: żywności posłano do więzień warszawskich za pośrednictwem kuratorów w ciągu 1926 roku dla 8208 osób, posiłek od rodzin dla 1920 osób, posiłek z poczty wykupiono dla 804 osób.

Po wyjściu przestępca z więzienia, najpierwszą jego potrzebą są pieniądze: na wyjazd, na mieszkanie, na odnalezienie poprostu swego poprzedniego miejsca w życiu. Patronat te pieniądze daje, o czym znowu, aż nadto wyraźnie, mówią dane statystyczne za 1926 rok. A więc udzielono zapomóg: na przejazdy 646 osobom, na warsztat pracy — 55, na mieszkanie — 66, na pomoc lekarską — 144.

Jednak datek pieniężny nie jest kwintesencją opieki Patronatu nad byłym kryminalistą: sprawą pierwszorzędnej wagi dla takiego wykolejńca będzie praca. W swoim czasie w artykule p. t. „Wina i kara“, omawiającym sprawę więziennictwa kobiecego, padło kilka ostrych słów w stronę Patronatu za zbytnią opieszałość w wyszukiwaniu pracy dla byłych

przestępców. Po dokładnym zbadaniu tej sprawy należy przypuszczać, że większość odpowiedzialności spada jednak na barki społeczeństwa. Poprostu chodzi o Dom Pracy, który może być jedynym wyjściem z labiryntu nieufności, jaki dzieli społeczeństwo od więzienia, i z rozpanoszonej obecnie klęski ogólnego bezrobocia. Funduszy na zorganizowanie takiego Domu Pracy Patronat nie ma, a przecież instytucja tego rodzaju nietylko dałaby pracę tym rzeszom moralnych rekonwalescentów, ale jednocześnie, umożliwiając obserwację nad nimi, zrzuciłaby z nich raz na zawsze balast nieufności pracodawców. Ani najbardziej nawet energiczna akcja komisji dochodów niestałych Patronatu, ani inicjatywa poszczególnych członków nie wzniosą murów tego błogosławionego Domu. Trzeba dodać niewiele: — trochę dobrych chęci ze strony społeczeństwa i czynników miarodajnych.

Brak funduszy jest również ważną zaporą w opiece nad dziećmi więźniów. Patronat od dłuższego czasu prowadzi schronisko dla nich w domu portowym, które w r. 1926 dało przytułek 37 małym dzieciom. Niestety, schronisko to ciągle żyje pod grozą eksmisji, co niesłychanie utrudnia jego planowy rozwój.

Poza schroniskiem Patronat otacza opieką rodziny więźniów, wglądając starannie w ich wszystkie kłopoty i sprawy. A znowu z powodu braku rąk do pracy nie każda rodzina może mieć swego opiekuna, czy opiekunkę, co jeżeli nie jest konieczne, to w każdym razie — wskazane. Zarząd Patronatu walczy jednak wytrwale z obojętnością ogółu, tembardziej, że największym kapitałem w tym wypadku jest wytrwała praca jednostek.

Trzeba mieć nadzieję, że zczasem dziwny mur obojętności społeczeństwa runie; nie stanie się to jednak wcześniej, aż społeczeństwo spojrzy na Niepodległość nie z punktu widzenia nieodpowiedzialności, ale z punktu wytrwałej współpracy.

Zofia Miszewska.

KRAKÓW I WARSZAWA W 1813 ROKU

Marzę, jak przez sen, o jego komnatach, karmazynowym adamaszkim wybitych, gdzie meble, lustra i wszelkie ozdoby—tak nieocenione rokoko—obecnieby tworzyły, a które nam się wtedy nader staroświeckie i nieeleganckie wydawały; były to przecie zabytki XVII i XVIII stulecia, które nam, przywykłym do naśladowania greckich i rzymskich ozdób, za czasów francuskiego cesarstwa bardzo naturalnie do smaku nie przypadały.

Uroczystość imienin Króla Saskiego, dn. 5 marca przypadająca, była tego roku nader okazale w Krakowie obchodzona, przez danie wielkiej fety rządowym kosztem w Sukiennicach. Ogromny ten przybytek, pierwszej epoki istnienia Polski sięgający, był tego wieczora kilku tysiącami świec jarzących oświetlony, bo wtedy ani kinkietów olejnych, ani stearynów jeszcze nie znano. Sklepy, z obydwóch stron ogromnego sklepionego przejścia będące, gustownie iluminowane, przedstawiały widok czarujący; a kilka tysięcy strojnych, w maskach, kostjumach, lub zwyczajnych ubiorach kobiet i rozmaitemi mundurami błyszczących oficerów, obywateli i cudzoziemców, co tę okazałą salę przez noc całą napełniali—nadawało temu zebraniu niewymownej uroczystości cechę. Nie można było tańcować dla wielkiego tłoku, bal więc zamienił się w wielką maskaradę, która dopiero nadedniem, po opuszczeniu jej przez wiele osób, tańcem ożywioną została. Dodam tylko dla tych, co Sukiennic nie widzieli, ażeby sobie ich ogrom wystawić mogli, że dwie bardzo liczne orkiestry przy ich końcach grały, w środku zaś przechodzący się ani jednej, ani drugiej nie słyszeli.

Dzień, jeszcze więcej zajmujący i wspomnienia godny, był ten, w którym rząd Księstwa Warszawskiego, dyplomatyczni agenci, a wraz z nimi całe krakowskie towarzystwo, emigranci i nieemigranci, zgola prawie cała ludność miasta do solnych kopalni Wieliczki spuściła się, ażeby ten dzień cały na zwiedzaniu i podziwianiu tego daru szczodrobliwego dla naszego kraju przyrodzenia przepędzić... Odwiedziny te odbyły się jeszcze w karnawale, bo właśnie dnia tego matka prefekta krakowskiego, pani Wodzicka, starościna grzybowska, dawała wielki tańczący wieczór, na którym mało kto tańczył, bo zajęcie dnia tego całego, zwiedzanie tak zajmującego miejsca, jak Wieliczka, nastęrczało rzadko przedmiotów do rozmów i rozumowań, ażeby czemś innym bawić się można było. Dyplomaci francuscy: p. p. Bignon, Lajard, de Broglie, de Rumigny i kilku jeszcze przesadzali się w uniesieniach i pochwałach tych tak istotnych i bogatych przyrodzenia skarbów, których już, niestety, wspólne korzyści z Austrią, przez

pokój wiedeński 1809 r. nam zapewnione, a krwią naszą wywalczone, krótko już tylko służyć nam miały.

Skoro się karnawał skończył, niezmordowane w wymyślaniu zabaw towarzystwo ułożyło inne, więcej jeszcze wymagań i zabiegów potrzebujące. Kilka dam jeździło dobrze na koniu, a chęć ich popisywania się, przy wczesnie poczynającej się wiosnie, nastęrczyła pomysł zwiedzania pięknych okolic Krakowa w licznej gronie towarzystwa, któremu to urozmaicenie zabaw nader do smaku przypadło. Wycieczki te trwały dzień cały; zgromadzano się około godziny 12-ej na śniadanie składkowe, lub w którym z gościnnych krakowskich domów, skąd pięć, a czasem siedem dam konno, orszakiem świetnej młodzieży otoczonych, za któremi długi szereg eleganckich otwartych powozów postępował, udawały się za miasto ku Łobzowowi, Bielanom, lub Krzeszowicom. Tam czekał na nas obiad i różne gry, do letnich zabaw służące, a lubo to jeszcze nader wczesna pora roku była, przypominam sobie dobrze, żeśmy po wielkim obiedzie, w Woli Justowskiej 9 kwietnia przez p. Bignona danym, do późnego wieczora w ogrodzie w obręcze grali, a to w muslinowych sukniach, zrzuciwszy szale dla dokuczającego gorąca. Podobne wycieczki bywały zawsze jakim muzykalnym, ale nietańczącym wieczorem zakończone, a ponawiały się czasem i dwa razy w tydzień.

Tak zeszedł post wielki cały, a Święta Wielkanocne nadały towarzystwu inny kierunek. Nie pamiętam, gdzieby tak ściśle w Polsce obchodzone święcone było, lecz ostatnia kościelna uroczystość z całym urokiem świętej naszej wiary obchodzona była. Był to obrzęd rezurekcji, w krakowskiej katedrze odbytej. Tam poraz ostatni Wódz i wojsko narodowe zgięli kolana przed Wszechmocnego Stwórcy objawieniem; własne działa i bębny polskie ogłosiły szeroko tajemnicę Jego zmartwychwstania, a nieprzeliczone tłumy ludu, ogromną tę świątynię przepelniające, błagały cichemi łzami i gorącą modlitwą o Jego zmiłowanie się nad nami, Jemu zawsze wiernymi, a w odmęcie bezprzykładnych losów kolei ginącymi. Był to widok nie do opisanego; wrażenie, które na nas sprawił, w każdym szlachetnym umyśle na zawsze pozostało. Panie z wyższego towarzystwa, Francuzi i niektórzy urzędnicy w wieku podeszłym zajmowali łoże, w których niegdyś polskich królów rodziny religijnym obrzędem asystowały. Zajmowaliśmy więc te miejsca, gdzie wielbiona Jadwiga, chytra Bona, piękna Barbara—przed Bogiem się korzyły! Co za dziwne losów zmiany! co za obfite do poetycznych dumań przedmioty! Podczas owoczesnego naszego pobytu

w Krakowie było w tem mieście i jego przedmieściach 35 kościołów; odwiedziłam je wszystkie w Wielki Piątek.

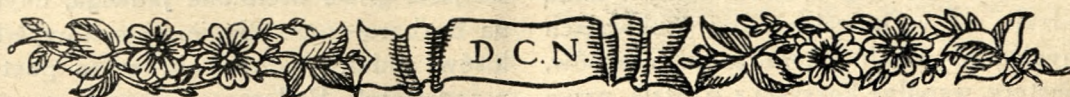
Zaraz po skończonych zapustach wysypały się na Kraków mnogie paszkwile i wiersze, mniej więcej dowcipne koncepta, wyszydzące srogo niepoohamowaną żądzą bawienia się, przez zebrane w tem mieście towarzystwo tak żywo objawianą; jedna tylko poezja, w tym celu napisana, na wspomnienie zasługuje. Były to wiersze pod tytułem „Tańczący Kraków“, które całe towarzystwo, a osobliwie kobiety, nielitościwie szarpały; a że w nich cokolwiek prawdy było, tem żywsze na nas sprawiły wrażenie. Lubo ta chęć udawania wesołości, dla większego przekonania o wiarę w już upadającą sprawę Napoleona—najwięcej przez Francuzów zachęcaną i utrzymywaną była, mniej ważne powody przyczyniały się jeszcze do niej; wyznać jednak teraz winnam, że gdybyśmy się byli poważnie w Krakowie wtedy zachowali, niemałoby to wdzięku ówczesnym dziejowym opisom dodać było mogło. Lecz sam pan Bignon stał temu na przeszkodzie; nie wiem, czy z własnego przekonania, czy z wyższych rozkazów—ten dyplomata nie dozwalał nam nigdy na chwilę odpocząć. Przypominam sobie nawet, że go raz sama od nader niebezpiecznego projektu odwiódła. Chciał on dać wielką zabawę w Tyńcu, udając się tam wodą na Wisłę, bo Tyniec leży w Galicji na tamtej stronie rzeki. Piękny to był pomysł w istocie, ale opactwo tynieckie było od dni kilku na wojskowy lazaret zamienione i chorymi z korpusu Księcia Józefa napełnione; gorączki zaś nerwowe i inne tak mocno w mieście i jego okolicach szerzyć się zaczęły, iż moje przedstawienie niebezpieczeństwa podobnej zabawy w tak smutnych okolicznościach zamiar p. Bignona stanowczo zniszczyło. Choroby coraz więcej ku wiosnie się wzmagaly i dosięgły nawet tych, co przez wygodne życie i nieudzielanie się chorym uniknąć ich powinni byli. W przyległym memu mieszkaniu domu straciliśmy pułkownika (Augustyna) Trzecieckiego, a pułkownik Strzyżewski jedynie tylko czułem pielęgnowaniu swej żony (z domu Potockiej) powrót do życia był winien. Piękna, a z przymiotów duszy i serca powszechnie wielbiona, pani Antoniowa Ostrowska (z domu Morska), pierwsza żona w Madur, niedaleko Tours, w 1745 zmarłego Senatora - Wojewody—padła także tej okropnej zarazy ofiarą. Innych strat w tym względzie trudno mi przypomnieć, dosyć zaiste jednak i tych powodów było do wstrzymania się od ustawicznych oznak wesołości, która nas w Krakowie, jakby szła jaki, opanowała!

Nie wspomnę tu wiele o rozmaitych miłosnych awanturach, co tak liczne nagromadzenie i przymuszone codzienne widywanie się najpiękniejszej w kraju młodzieży z mnogą liczbą kobiet, dowcipem i wdziękami słynących, bardzo naturalnem czyniło. Owa słynna pani C. (Czosnowska) zjawiła się tu niespodzianie, goniąc za uchodzącym przed nią rycerskim Wielbicielem, co już wtedy, niemało odczarowany, do pięknej krakowianki hołdy swe przeniósł, zawsze i wszędzie dając jej tego dowody, co panią Czosnowską w najwidoczniejszą rozpacz wprawiało. Pewna znakomita i piękna pani tak silny atak nerwowy na balu dostała, że ją z niego wynieść musiano, dowiedziawszy się, że jeden z młodych sekretarzy francuskiej ambasady tejże samej nocy do Drezną wyjeżdża.

Te i tym podobne wypadki przytaczam tu tylko poto, ażeby wiernie skreślić obraz naszej ówczesnej improwizowanej emigracji we wszystkich jego odcieniach; a ta wesołość wśród tylu goryczy była może dla nas wszystkich przepowiednią, że to dwuznaczne położenie rzeczy się lepiej, niż gorzej zakończy.

W owej epoce najgłośniejsze domy Krakowa zamieszkiwały: rodzina Zamoyskich ordynatostwa przy Ś-to Jańskiej ulicy w kamienicy księcia Kazimierza Czartoryskiego, pomieszczenie zmysłów cierpiącego; wielki dom pod Baranami był przez p. Stanisława - Kostkę Potockiego i inne rządowe osoby zajęty; pan Bignon z całą ambasadą mieścił się w pałacu Wielopolskich przy Brackiej ulicy; państwo Mokronoscy mieszkali w domu Ossolińskich przy Florjańskiej ulicy; generał Karol Kniaziewicz z ładną swą pupilką, panną Stecką, później księżną Michalową Radziwiłłową, stał pod Krzysztoforami; pierwsze piętro Spiskiego pałacu było na zabawy publiczne przeznaczone, na drugim mieszkali Ignacostwo Stadniccy, eleganckie wieczory dając.

Ceny produktów były w owych czasach nader dziwne: kawy funt kosztował 9 zł., cukru — 9 do 10, inne kolonialne towary w proporcji. Jaja niewypowiedziane były drogie, najpiękniejszej zaś polędwicy można było dostać za 2 zł., a kapłona tucznego jeszcze taniej. Ale na wszystko jest sposób: wysyłałyśmy naszych mężów do Wieliczki na spacer zrana, kiedyśmy w wieczór u siebie herbatę dawać chciały, a oni nam w kieszeniach pięknego cukru za 3 zł. funt stamtąd przynosili. Kawa także w Austrii po tejże cenie była, co i cukier, a my, biedne emigrantki, zawsze jednak przyjacielskie zebrania u siebie miewać lubiące, tym tylko sposobem tak wielkich wydatków unikać potrafiłyśmy.



M. S. STARZEWSKA

SUŁTAŃSKIE DZIECI

W Stambule w sułtańskim Mauzoleum
 Śpią od wieczora do rana
 Dzieci któregoś Sułtana.
 Jak pod zieloną trawą
 Spoczywają pod sukniem zielonem,
 A zamiast korony
 Mają u węgłowia małe, białe turbany
 (Może to dzieci męża okrutnej Roksolany?)
 A nad wieczorem snom sułtańskich dzieci
 Półksiężyc turecki świeci
 I przegładając się w Bosforu falach,
 Modli się za dusze sułtanów — Eli, Ekbar, Allach! —

NASTRÓJ

Po szybach krople deszczu spływają powoli,
 Jak łzy na dziecinnej twarzy —
 W ogródku, pełnym owoców i jarzyn,
 Wiatr tańczy z drzewami, jak czart z czarownicą —
 Mama, szeleszcząc jedwabną spódnicą,
 Siada do fortepianu
 I zaczyna grać Szopena preludjum deszczowe —
 Mama tak smutno gra — pewno ma zmartwienia nowe...
 Dzieci, wtulone w kanapę, siedzą w pokoju same —
 Chociaż niema za co, ale idą przeproszać mamę:
 Mama się o coś gniewa, może ją boli głowa? —
 Ach, żeby tylko grać przestała! — bo można ze strachu zwariować.

NAD GROBEM WIEWIÓRKI

Lisia kładzie bukiet fiołków na małym, czarnym kopcu
 I tak się odzywa do zgromadzonych dziewczynek i chłopców:
 Tu spoczywa mój najdroższy powiernik i przyjaciel
 w pudełku od mydła i różowej wacie.
 Moje życie i moja jedyna pociecha,
 Specjalista od obracania w dwóch łapkach orzecha.
 Gdy go dostałam, był młody i dziki,
 Lecz prędko się nauczył obgryzać buciki
 I wylewać atrament na zaczęte listy.
 Miał czarne oczęta i ogon puszysty,
 Siadywał często na stole, brał w dwie łapki grzanekę,
 Obgryzał ją, poczem wylewał z garnuszka śmietankę.
 Mama — jak to mama, mamy nikt nie zmieni —
 Za karę wypraszała wiewiórkę do sieni,
 Mówiąc: — Albo ja będę przy stole, albo zwierzęta
 I proszę dzieci o tem pamiętać. —
 Zwierzątko miało futerko, jak saszet pachnące,
 I serduszko wiecznie ze strachu bijące.
 Kiedyś zgmiotła je we drzwiach niechcący służąca —
 Leżała wiewiórka na ziemi spłaszczona i drżąca.
 Umarła, jak prawdziwa lady, bez płaczów i jęków
 Na moim ręku.



PRZYGODY BŁĘKITNYCH MOŻLIWOŚCI

Na ławkę przysiadło się dwu panów. Rozmawiali i, uchylwszy kapeluszy, zajęli miejsce obok. O dziwo! Rozmawiali po niemiecku: jeden, widocznie Niemiec — doskonale; drugi — z powolną prawidłowością dobieranych starannie słów. Znamionowało to amerykańczy — powierzchowność zresztą miał całkowicie typową — który zajmuje się sprawami handlowymi. Niemcy są jedynym, bodaj, narodem, który zdołał narzucić nawet nieustępliwym yankesom konieczność swego rodowitego języka — w imię biznesu.

Niemiec był młody, spasiony i najwidoczniej zadowolony z przebiegu rozmowy. Siadając, obrzucił uważnie wzrokiem sąsiadkę i uśmiechnął się do niej, mrużąc wodniste, jak farbowana woda, oko. Spuściła rzesy i gniewnie ściągnęła brwi. Niemcy! Przez wyłączenie jej rodzice stracili majątek: mieli ziemię na Pomorzu. Odtąd zaczęła się powolna droga wdół: choroba ojca, śmierć matki, jej długoletnia, od dzieciństwa niemal, tułaczka.

Usunęła się dalej, niemal ze złością; ale mimo woli przysłuchiwała się rozmowie. Ten narzucony język знаła jednak najlepiej — i — w gruncie — imponowała jej żelazna nieugiętość tych ludzi. Byli zdobywcami! Zdobywali nawet i po wojnie — zdobywali podstępem tam, gdzie niesposób było dotrzeć przemocą.

— Dostarczę panu papierów jeszcze przed południem — a jeśli odpływacie jutro, to przysię do kantoru, żeby było prędzej. Interes trzeba kuć, zanim gorący! Prawda, kapitanie? Co?

Opalony na brąz, szczupły amerykańczy wyjął powoli z ust fajkę i zaczął ją metodycznie wytrząsać o brzeg ławki, mrużąc oczy i patrząc w dół na błękit, na półkole wody. Był wysoki, śniady i sprężysty — słony od morza i zahartowany od słońca i wiatrów.

— Sure! Prędko ubić interes — dwa razy ubić interes! Ale nie potrzebuje pan przysyłać. Będę tutaj jutro o tej samej porze; mają mi w kantorze dać jakąś pannę zamiast Polly. Pewnie nie wyjedziemy, aż pojutrze. Z niemieckim, i to handlowym, — trudno znaleźć.

— A z Polly nic nie lepiej? Nie udało jej się z tą chorobą tuż przed wyjazdem!

— Nie lepiej. Wczoraj sprowadzono drugiego lekarza. W każdym razie o wyjeździe niema mowy. Dobrze, że większa połowa umowy jest napisana. Poszukam w drodze, jeśli tu zawiodą.

— To numer, Polly! Co, kapitanie?... Rządziła biurem nie gorzej, niż pan swemi marynarzami. Tylko pan dawał sobie z nią radę.

— Toteż dlatego bardzo to nie na rękę, tak w ostatniej chwili — obiecali mi tu jedną — jutro przyjdę o drugiej.

Wskazał oczyma wylot Broadwayu, ziejący czernią na słonecznym tle, jak tunel z niebosiężnych kamienic, skaczących jedna przez drugą nierównymi dachami, aby zasięgnąć nieco słońca.

Niemiec podniósł się i wyciągnął tłustą dłoń.

— Bye — bye! zatem do jutra. — I, ścisząc figlarnie głos, dodał scenicznym szeptem:

— A uważaj pan, kapitanie, żeby cię nie uwiodła ta złotowłosa Loreley! Napewno francuzka! Bo gotowiśmy nie dobić interesu!

I mrugnawszy chytrze ku Romie, która nagle spłonęła, ku swej największej rozpacz i złości, aż po włosy — odszedł, rozkołysany w biodrach, podgwizdując, wprost przez szeroki trawnik, poprzez śliczne, wiosenne jego aksamity. Minęła dobra chwila, zanim paniątka zdecydowała się podnieść oczy — wprawdzie ostrożnie i z ukosa — i spotkała się wprost ze spojrzeniem brązowego kapitana. Podniosła się momentalnie z ławki i więcej rzesami, niż głową, odpowiedziała na bezkolicznościowy półukłon, z jakim uchylił kapelusza, jednocześnie się podnosząc, ale zmierzając w innym, niż jego spłoszona sąsiadka, kierunku.

U wylotu Broadwayu, nim weszła w ciemną cześć miasta, obejrzała się raz jeszcze na słoneczne półkole skweru. Na skraju, tuż nieomal przy wodzie, stał ów amerykańczy, z rękoma w kieszeniach, zwrócony profilem, i patrzył na morze oczyma, które tam dopiero zapewne widziały jakąś Loreley.

* * *

Spotkanie portowe wynikło na siódmy już dzień bezrobocia młodej prawniczki. Przez ten czas przechodziła różne fazy — nadewszystko jednak przeżywała uczucie swobody. Było tak nowe i olśniewające, że mogło trwać tylko krótko. Było to uczucie wisielca, któremu pękł nagle duszący sznur — ale który zato za chwilę runie nadół i może się zabije.

Może się i zabije? Nie wiedziała. Poraz pierwszy zrozumiała dokładnie, co znaczą realnie słowa: sytuacja bez wyjścia. W kraju — teraz to widziała — wyjście przy tej sumie energii, jaką zatraciła na wyszukanie go tu: znalazłaby zawsze. Tam — rozumiano po polsku! Tu — była niezrozumiałą abrakadabram, która tylko gestami mogła pokazać, że jest w rozpacz, bez dachu, bez pracy; że jest głodna, lub, że zamierza właśnie otruć się, bo zostało jej tylko trzy do-

lary. A gest, jest to na pewnym stopniu kultury rzecz krępująca i "prawie nieprzyzwoita. Była wychowana w unikaniu zbędnych ruchów. I oto teraz — nie stać ją było nawet na gest niezbędnej samoobrony.

* * *

Nadmiar, miała się aż nadto rychło przekonać, że niepowodzenia idą zawsze, jak owoce: tłokiem. Błękitna superiorka błękitnego klubu, w którym mieszkała, poinformowała się, kiedy zamierza się wyprzewadzić, gdyż miesięczny termin, przysługujący nowoprzybyłym dziewczętom, właśnie upływał.

— Zatrzymałybyśmy panią najchętniej, nie mamy nic do zarzucenia jej sprawowaniu... — oschła pani chwilę się zatrzymała. — Ale pokoje nasze liczymy tak tanio, właśnie, aby nieobeznane z miastem dziewczęta mogły mieć chwilowe schronienie, zanim się rozejrzą i znajdą coś dla siebie odpowiedniego — Bardzo żałuję! Mam jednak już kandydatkę z prowincji, która czeka na wyjazd pani, żeby móc przybyć, i zostało to jej przyrzeczone od pierwszego. Bardzo skomplikowane, bardzo! Oczywiście, jeśli straciła pani posadę... — Przecież kolonia polska jest tak liczna! Należy się zwrócić, spróbować... — Niestety, w amerykańskich biurach cudzoziemka prawie nie ma szansy, gdyż brak doskonałej angielszczyzny i — sprawności, oraz metody pracy, widocznie odmiennej w Europie — uniemożliwia najlepsze chęci... Zresztą, może konsulat?...

Pamiętała o tem aż nadto dobrze i pierwsze dni po pierwszej godzinie płaczu i jakim takim opanowaniu się wewnątrz: poświęciła właśnie na obejście ojczystych placówek. Droga ta, zaiste krzyżowa, miała nazawsze zostać w pamięci, jako bezpłodne, a rozpaczliwe wspinanie się po śliskiej szybie spadającego wciąż zpowrotem do pierwotnego położenia motyla. W dzieciństwie pamiętała taką halę umarłych motyli: był to stary skład drzewa w podwórzu ich domu, zbudowany zapewne na coś innego — raczej na warsztat. Panował tam zawsze wilgotny mrok, dzięki długiemu i niskiemu pomieszczeniu i oknom z jednej tylko strony, niskim, szerokim i poszytym w drobną kratkę mętnych od pokładów szarego kurzu szyb. Na tych ślepych szybach umierały nieruchawe, osowiałe motyle. Wpadały przez górne, wybite szkła — i już nie umiały się wydostać. Sennym, strasznym, mechanicznym ruchem czołgały się po mętnej szybie w górę, spadały, trwały czas jakiś w obumarciu beżsiły — i znowu, macając śle-

pem skrzydłami przestrzeń, zaczynały syzyfową pielgrzymkę ku wyzwoleniu. Na parapetach leżały, jak powiędłe płatki kwiatów, postrzępione resztki tych, które już skończyły...

Wiedziała o tej izbie motylej męki i wkradała się tam czasem, jako mała dziewczynka, za stróżem, idącym po drzewo. Pełna była straszliwej grozy i litości, drząc zawczasu na całym ciele i niejako na duszy — kuląc się w sobie i modląc, aby wytrzymać i nie uciec. Szczególnym sadyzmem samoudręki odczuwała te nawiedziny — zarówno z nawiedzaniem przy matce chorych w szpitalu i uprzejmem obcowaniem ze straszliwą żebraczką bez nosa, nachodzącą dom co piątek: odczuwała te nawiedziny, jako pewne zadośćczynienie zazdrosnym losom za własne, czyste łóżeczko i dobrobyt dzieciństwa. Była to jej ofiara cierpienia, na wzór Wielkiego Cierpiętnika ludzkości — przewyciężenie najcięższej swej odrazy, zadawanie sobie świadomie najboleśniejszej, nie do zniesienia wprost, udręki. Zatułała dłonią usta, żeby nie odetchnąć przez czas pobytu w hali motylej śmierci — boby straszny zapach rozkładu zatrul płuca i jużby zaczął żyć w niej samej! Stawała w progu i przerażonemi, ogromnemi od własnego i cudzego cierpienia żrenicami biegła ku straszliwym szybom tortury. Ospale, nienaturalne bezruchem, kostniejące trójkąty skrzydeł czołgały się automatycznym pochodem po ślepem szkle wwyż — i w nagłym spadzie ginęły z oczu, aby za ciężką chwilę mozolnie wyżęglować z pobojowiska trupów na parapecie w górę, w nowej, rozpaczliwej, ostatniej próbie walki o byt. Szara, potworna postać czaiła się w niewidzialnym półmroku i śmiała się bezgłośnie paszczką z beżsiły zwyciężonych, a ciężkie trupami powietrze wisiało zatrutym całunem, usiłując przeniknąć do płuc. Nie oddychać dalej było niesposób, i wypadła na słońce podwórka z bolesną grozą oczu, wzbierających łzami, z wiecznie niezaspokojonem, zwróconem ku błękitnemu niebu pytaniem: — Dlaczego?

Dlaczego Bóg patrzy bez buntu, jak umierają motyle? Kiedy nawet jej, Romie, matka każe bandażować nogę pastuszcze i kochać okropną żebraczkę bez nosa?

Naówczas miała lat siedm, czy ośm — wiek, najbardziej oddany dociekaniom metapsychicznym i problematowi sprawiedliwości powszechnej — efemerydy, na które w tej formie późniejszy czas już nie ma miejsca, ani ochoty. (d. c. n.)



W. MIŁASZEWSKA

32

KACZĘTA

(powieść)

Adelka trzepała, jak najęta. O nowych książkach, i podróżach, o sukniach. Co trzecie zdanie wtrącała jakiś francuski wyraz, napewno ni przypiął, ni przyłatał, tylko tak — żeby się przed panną Herminką popisać. A Herminka wszystkiemu potakiwała z miłym uśmiechem, zerkając raz poraz w stronę narzeczonego, który, rozparty na krześle, z nogą założoną na nogę i z papierosem w ustach, przytaczał dziesiątki cyfr i wymieniał nazwy różnych firm, które, jego zdaniem „przetwarzają kryzys”, albo napewno wkrótce „zrobią plajtę”.

— Dolar! Dolar! — dowodził Tomasz, wystukując palcem na stole każdą sylabę — Dolar, proszę panów, to jedyna podstawa każdej dzisiejszej kalkulacji! Ceny muszą być normowane w dolarach!

— Jakie to ładne malowidło! — zaczęła panna Herminka głosem niepewnym, widząc, że ukochany nie zwraca na nią uwagi. I wskazała palcem na ścianę między oknami, gdzie wisi olejny obrazek, który mi Mareczek podarował w zeszłym roku na imieniny.

— Podoba się pani? — podchwyciła z zadowoleniem Adelcia — Ach, par da, tobie... Jeszcze się nie przyzwyczaiłam, droga Miniu, mówić do ciebie po imieniu... Więc ci się ten obrazek podoba? To malował mój brat.

— Pan Stanisław?

— Nie, Marek. Ten, który zginął pod Lwowem. Ach, to był niezwykle zdolny chłopiec! Nasi znajomi malarze twierdzą, że z niego wyrósłby wielki artysta! E pętr selebr... Cóż, kiedy zginął w kwiecie lat... Ach, to było cudowne dziecko, chluba naszej rodziny!.

Nie znoszę, poprostu nie znoszę, gdy Adelka zacznie robić te swoje miny „na pokaz”. Miałam ochotę krzyknąć: — nie mów o Marku! Zabraniam ci mówić o Marku! — ale w tej samej chwili Tomek wstał z miejsca. Widać sobie przypomniał, że wypada zająć się narzeczoną, i podszedł ku pannie Hermince.

— Chciałabym umieć malować! — zaczęła panna nienka, rozkchanemi oczami wpatrując się w Tomasza. — Czy niema tu gdzie innych rysunków pańskiego brata?

— ... twojego brata — podszeptnęła Adelka z uśmiechem, a tamta zaczerwieniła się aż po włosy i naprawdę nagle prawie wyprzystojniała.

— Ciocia ma tego całe szuflady pełne. Ale chodźmy lepiej do gabinetu ojca, pokaże ci tam landszafty, które podobno są warte duże pieniądze. Ojciec je kupił z licytacji od jakiegoś zbankrutowanego obywatela...

Jaki ten Tomek ma czasem ordynarny sposób mówienia... landszafty, licytacja... Wszystko na pieniądze obliczył! Ale Herminka słuchała z otwartymi ustami i wchłaniała każde słowo, jak ewangelję! Biedna dziewczyna! Prędko się skończą te narzeczeńskie zachwyty!

Wyszli z salonu, a w chwilę później zadzwonił telefon.

— To do mnie! — krzyknął Tcofil — wybacz pan! Pilna sprawa... za minutę będę z powrotem.

Zostaliśmy więc z panem Kazimierzem sami w salonie. Jakiś czas trwało znowu kłopotliwe milczenie. Łamałam sobie głowę, o czymby zacząć mówić, kiedy raptem, podsunąwszy się ku mnie z krzesłem, zaczął głosem wzruszonym:

— Droga panno Justyno! Czy to nie dziwne zrządzenie Opatrzności, że właśnie nasze dzieci... Nasze dzieci... bo przecież Tomasz, to jakby pani syn — że nasze dzieci mają wypełnić to, co nam widać nie było sądzone...

Zmieszał się, urwał. — Nie było sądzone? — przemknęło mi przez głowę — Pewnie... Ja nie miałam żadnego posagu, a wędliniarka była bogata. Dlatego nie było nam sądzone... — I widocznie gorzki uśmiech przeleciał mi po twarzy, bo pan Kazimierz ozwał się jeszcze pokorniej:

— Widzi pani, choćbym, nie wiem jak, pragnął cofnąć minionie lata, już się nic nie odrobił! I dlatego tembardziej pragnę, by moja córka, mając droga pieściszczka, zaznała w życiu więcej szczęścia...

Zadrżałam mimowoli, lecz on tego nie spostrzegł.

— Pragnąłbym, korzystając z tej chwili, szczerze z panią pomówić!

— Ależ...

— Bo, widzi pani... ja z początku byłem temu małżeństwu przeciwny... To jest, wahałem się... Nie chcę, broń Boże, zarzucić czegokolwiek pani siostrzeńcowi! To chłopiec bardzo zdolny, energiczny, ma dużą przyszłość przed sobą.. Wiem, że niejedna panna mogłaby pozazdrościć Hermince, ale...

Znów uciał, z niepokojem obejrzał się na drzwi i wreszcie spytał prawie szeptem:

— Czy pani ma wrażenie, że on ją szczerze kocha? Wydało mi się, że ktoś rękę zimną, jak lód, położył mi na czole.

— Czy ja... czy Tomek... o co pan pyta?

— Może to z mojej strony niedelikatnie, tutaj, od pani zasięgać rad, dotyczących jej siostrzeńca! Ale błagam, niech pani zechce zrozumieć! Przecież tu

chodzi o moje dziecko jedyne, o dziecko, które kocham! Idąc dziś do państwa, myślałem sobie; „Wiesz, jaka jest panna Justyna! Wiesz, stary głupcze, że to dobroć i prawość chodząca! Otóż, jeśli ją szczerze zapytasz, ona jedna prawdę ci powie...” Dlatego ośmieliłem się... Czy pani wierzy w to, że on Herminę kocha, że zapewni jej szczęście?

— Czy ja wierzę? Mój Boże... Skąd mogę wiedzieć... Tak mię to zaskoczyło...

— Bo że dziewczynie zabrał serce od pierwszego spojrzenia, to aż za dobrze widzę. Tylko się boję... pani rozumie!.. Chciałbym mieć pewność, że żadne inne względy, oprócz uczucia, nie kierują panem Tomaszem. Bo widzi pani, Herminę trzeba dobrze znać, by ją ocenić. Nieładna jest, to wszyscy wiedzą. Ale mało kto wie, jaka to dusza wrażliwa, jaki to dobry charakter! Ją trzeba dobrze poznać, do głębi poznać — wtedy ją można pokochać. I dlatego wolałbym, żeby oni dłużej przyglądali się sobie, rozważyli ten krok, zanim klamka zapadnie... Nie chciałbym ślubu przyspieszać. Mogą przecież poczekać na siebie rok, dwa... Ale pani rozumie: młodzi. Obojgu pilno. Miałbym zupełne prawo postawić swoje warunki. Minia dopiero w grudniu osiemnaście lat kończy. Takie dziecko! A i pan Tomasz młokos. Ale cóż!..

Zdawało mi się, że cały pokój kręci się wokół! Zwarjował i tańczy. Tańczą złożone krzesła, tańczy lustro, tańczy stół z kwiatami i wszystkie obrazy na ścianach. Może to mnie samej zakręciło się w głowie od tych wszystkich myśli — może to one tańczyć zaczęły pod czaszką, jak opętane?

Pan Kazimierz patrzył mi w oczy z niepokojem.

— Dlaczego pani milczy? Tak bardzo liczyłem na to, że pani da mi szczerą i prawdziwie przyjacielską radę!.. Pani przecież najlepiej zna swego wychowanka... Ja nie twierdzę, broń Boże, nie twierdzę, by Tomasz nie budził we mnie zaufania! Ale pani go lepiej zna... Czy on potrafi uszczęśliwić moją Herminę?

Tomasz? Czy ja go znam? Czy on potrafi uszczęśliwić Herminę? Jezus Marja! Dlaczego ten Teofil tak długo telefonuje! Niechby już wrócił, niechby mię od tej rozmowy uwolnił!.. Chociaż nie... Boże drogi, co ja mam odpowiedzieć? Uczciwie odpowiedzieć?

— Proszę pana — zaczęłam powoli, z nagłym postanowieniem — proszę pana, mnie się również wydaje, że...

W gabinecie zabrzączała słuchawka, rzucona niecierpliwie na widełki. Teofil lada chwila mógł wejść.

— ... że lepiej, aby się młodzi nie śpieszyli z nadto. Niech poczekają... Niech przywykną do siebie...

Pan Kazimierz odetchnął głęboko.

— Wiedziałem, że pani mię zrozumie i poprze.

Droga panno Justyno, ja w pani zawsze ceniłem... ja w pani zawsze podziwiałem...

— Tss... — szepnęłam — zdaje się, że wracają. Nie mówmy teraz o tem.

— Ale pani przyrzeka mi swą pomoc? Bo wiem, że młodzi podniosą gwałt!

— Przyrzekam.

— I pomówi pani z Tomaszem?

— Ja?

— Postara się pani wpłynąć na niego...

— Tak, postaram się wpłynąć na niego...

Pan Kazimierz wziął moją rękę i przycisnął do ust. We dzwiach ukazał się Teofil, a z za niego wyjrzała Adelka. Teofil spojrział, zatrzymał się i wreszcie krzyknął:

— Oho! Ja myślałem, jak tu przeprosić gościa, że sam został, a ci sobie w najlepsze gruchają!

Pan Kazimierz pokijał głową.

— Cóż to dziwnego? Nie widzieliśmy się tyle lat... Wspominaliśmy dawne czasy, prawda, panno Justyno? Jak to powiada przysłowie...

— Stara... przyjaźń nie rdzewieje! — odezwała się z za pleców ojca Adelka.

3 września

Przerwałam wczoraj pisanie, bo Staś, wróciwszy z miasta, przyszedł mi powiedzieć „dobranoc”. Kochany chłopak! Nigdy o tem nie zapomina,

Jak ja już dobrze znam jego chód! Kiedy idzie po schodach, co drugi krok ta sztuczna noga troszeczkę skrzypi... I tak kuszyk — kuszyk, winduje się biedaczek na piętro...

Wszyscy już spali, ale widać z mego pokoju dojrzał światło przez szparę w drzwiach, bo zastukał i wszedł.

— Ciocia się jeszcze nie kładzie? — zapytał ze zdumieniem — przecież już blisko pierwsza! Myślałem, że ciocia leży w łóżku i czyta. Co ciocia dotychczas robiła?

— Ot, nic ważnego. Pisałam sobie.

— Listy?

— Nie, niezupełnie. Tak sobie, widzisz, wieczorami zapisuję różne tam rzeczy, aby z pamięci nie wypadły...

— Więc to prawda? Ciocia pisze pamiętnik?

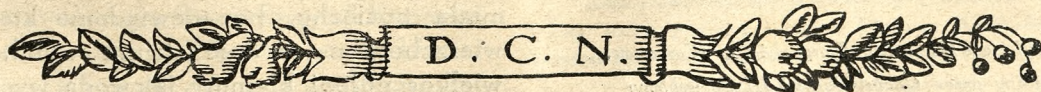
— A ty skąd wiesz?

Staś wzruszył ramionami:

— Adelka o tem trąbi naokoło.

Adelka! Zawsze ta Adelka! I kiedy ona znowu wywęszyła! Staś, jakby czytał moje myśli, dorzucił:

— Radzę, niech ciocia te szpargały dobrze na klucz zamyka. Dziewczyny wogóle są wścibskie, a jeszcze nasza Adelcia! No, trzeba iść. Dobranoc cioci.



STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW

PUHAR, RZEŹBIONY KRWAWEMI ŁZAMI OJCÓW

(z powodu otwarcia Zbiorów Muzeum Rapperswylskiego w Kamienicy Baryczków)

Pamiętam z przed wojny, jak przez mgłę, ponury zamek w Rapperswylu, opleciony bluszczem, jak grobowiec. W górze szumiały drzewa, gdzieś w dole pluskało zmacone jezioro, a po wszystkich załamach murów szeleściły suche liście, choć pora była letnia. Pachniało pleśnią i cementarzem.

Weszliśmy do środka. Duszno tam było od pamiątek, stłoczonych w jakiejś bezradności uchodźczej. A przecież ten skrawek wolnej ziemi szwajcarskiej przytulił to, co było Polską całą:—serce Kościuszki! Tylko niewiadomo było wówczas, ile lat jeszcze to Serce czekać musi powrotu „na Ojczyzny łono“, i ta wielka niewiadoma całunem smutku legła na piersi pielgrzymów. Tyle z tych ścian patrzyło bohaterskich

twarzy, które, nieuczczone, rozsypały się na dalekich pobojuwiskach pod bezimienną mogiłą! pod ścianami rdzewiało tyle broni, czekającej na dłoń mściciela!

A tymczasem na pluszowej murawie podzamcza, pod odwiecznymi wiązami, płaśły bezszelcnie oswojone sarenki, przez ogrodzenie wyciągając do przechodnia chrapki z ciepłego aksamitu. I był to jedyny ton zwycięskiego życia w tym minorowym akordzie przeszłości!

Przemknęły lata wojny, jak krwawe upiorzyce. Przez góry i morza ruszyły się wielkie Prochy ku Ojczyźnie. I przyszedł czas, aby i Zbiory Rapperswylskie—od r. 1870 świadczące wymownie o prawach Polski do niepodległości—zgodnie z wolą założyciela Muzeum, Władysława Platera, wróciły do kraju już wyzwolonego. Minęło parę miesięcy, i ujrzelśmy je, z mądrym rozmysłem i wzruszającym pietyzmem rozmieszczone w odświętnie przybranych świetlicach Kamienicy Baryczków, jako 25-tą, jubileuszową wystawę Towarzystwa Opieki nad Zabytkami przeszłości.

Więc naprzód sala pamiątek przedrozbiorowych, pełna splendoru i majestatu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, owiana puchami frywolnego rokoka. A wśród peruczek pudrowanych, co wychylają się zalotnie zza pozłocistych ram i kuszą nieblaknącemi barwami cennych minjatur—ciemną plamą odcina się marmurowa szkatułka Stanisława Leszczyńskiego, to złoto-rubinową gamą zagra podręczna apteczka „króla Stasia“, w której nie brak napewno „złotych szczypczyków do tępienia natrętnych insektów w koafiurze“; to czystością kryształu zalśni puchar, Sobieskiemu przez Gdańszczan darowany, to szlachetnym lazurem polewy błysnie w gąblotce waza wschodnia, niby błękitna wizja Bosforu.

Z tą wazą związana jest legenda, szczegółowo opisana na kartce, dyskretnie do dna przyklepionej. Powtórzmy ją tu bez komentarzy. Imć Pan Sierakowski, mąż animuszu rycerskiego pełen, czasu wiktory wiedeńskiej w namiocie wezyra zdybał oną wazę, pełną klejnotów, przeznaczonych dla dam haremowych. A że w Polsce zostawił młodą i gładką połowicę, przeto, nie wiele myśląc, wazę ze skarbami do siodła przytroczywszy, w drogę powrotną ruszył. Ale niewielką wdzięczna żoneczka z gościńca onego miała pociechę, bo niewiadomo kto:—jeździec, czy wierzchowiec—w dniu dziurę wybił, i przez otwór, wielkości dłoni, klejnoty, jak woda, wyciekły! Dyskretna



Zbiory rapperswylskie w Kamienicy Baryczków w Warszawie.
Obrus, ofiarowany przez Gdańsk Janowi III Sobieskiemu

karteczka nie wspomina, jak Jejmość Pani Sierakowska zareagowała na mężowską relację, ale to pewna, że wiedenki zawsze były sentymentalne i ponętne, a Imć Pan Sierakowski więcej był może łasy na ich wdzięki, niż na zdobyczne klejnoty, którymi pewno hojnie, jako grzeczny i bywały kawaler, łaski dam wynagradzał... A ten komentarz zrodził się w główce garçonne'y XX-go wieku, która banialukom męskim o pękniętych wazach już nie wierzy...

A teraz powłóczył dyg fałdzistym robronem:—zegnaj, świetlico zwycięstw, uciechy i rozkoszy!—Wchodzimy do sali marsowej i, jak na komendę, prężymy się na bacność. Sztandary! Mundury! Czaka! Zasięki szabel, którymi wyrąbała się Polska. Na pułapie belkowanym, na siestrzanie—karmazynowe poematy wstęp. Sztandary powstańcze, „rękami dziewic polskich haftowane“, jak napis głosi. Pistolety skałkowe, z prochem, zastygłym na panewce. I kulbaka, którą już dzisiaj chyba tylko wiatr od stepu dosiada...

Sala Kościuszki. Nad łóżem w owalnej ramie bukiet, wyhaftowany przez damy w Solurze z romantyczną dedykacją. Zapachniało lawendą i zwiędłej róży listkami... A wśród portretów Wodza i bezcennych Norblinowskich rysunków—coś dla pana Waldemarasa: srebrny wieniec, przysłany w r. 1895 do Rapperswylu przez Litwinów, z powodu przeniesienia tamże serca Kościuszki, a przy wieniec szarfy z napisem po polsku i po litewsku: „od zawsze wiernych Litwinów“. Biedne Serce Kościuszki! Takiejżeś się doczekało wierności!

Sala Emigracji, sala Wieszców i Męczenników sprawy narodowej. Pożółkły papier, na którym Mickiewicz uczył się pisać dzieckiem; drewniana figurka Matki Boskiej, kozikiem przez chłopca polskiego wyrżnięta (własność Wieszcza); oryginał medaljonu Słowackiego z grobu jego na cmentarzu Montmartre w Paryżu i t.p. W gablotce—żałosne klejnoty męczeństwa: stryczek po powieszonym powstańcu z 63 r., w srebrną bransoletę oprawny; linijka, wycięta z kości mamuta przez zesłańca na Sybirze, z napisem: „Jestem z nad Angary, Tunka 1873 r.“; mnóstwo drobiazgów, na których zakrzepło wspomnienie krwi przelanej, łez niewypłakanych... W tej sali panuje surowa, ascetyczna niemal prostota. Przystoi ona ceniom tych, którzy w kajdanach skazańców, lub o kiju pielgrzymim poszli w świat z ojczyzny.

Na galerji najwyższego piętra wybór dzieł pendzla współczesnych malarzy; między niemi historyczne po-niekąd znaczenie posiada pastel Leona Kaufmana, przedstawiający grupę członków komitetu pomocy dla ofiar wojny w Vevey. Widzimy tu Władysława Mickiewicza, Henryka Sienkiewicza, Antoniego Osuchowskiego, Almę Tademę i innych.

A teraz—szczypta sentymentu. W przejściu między dwiema salami wisi zegar kurantowy. Z Rapperswylu przyszedł w kawalkach. Złożono go troskliwie, tchnięto życie w stary sprzęt, co czasy legjonów pa-

mięta, i oto przystaje pod nim często czy to prezes Towarzystwa, p. Zygmunt Słomiński, czy dyrektor Władysław Kłyszewski

„i z dziecinną radością pociąga za sznurek, by stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek“.

I wśród odwiecznych murów sypią się paciorki dzwonek, nanizanych na sznurek melodji, od której serce polskie skacze...

* * *

W rozmieszczenie i posegregowanie Zbiorów włożono ogromną sumę rzetelnej pracy, wspomaganej głębokim pietyzmem. Zasługa to Komitetu Wykonawczego, a w pierwszym rzędzie dyrektora Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości, dr. Władysława Kłyszewskiego, którego niezmiernie energji i zapaleń Wystawa zawdzięcza tak szybkie swe powstanie. Niewątpliwie pielgrzymować do niej będzie nie tylko Warszawa, ale cała Polska. W tej nadziei wstęp do przejrzystość ułożonego katalogu zakończył dr. Kłyszewski słowami:

„Naszą rolą było ten pułap podać Ojczyźnie—inni niechaj wypełnią go „tęgiem winem żywota dla ożywienia sił narodu“!



Zbiory rapperswylskie w Kamienicy Baryczków w Warszawie. Z lewej strony portret założyciela Muzeum, Władysława hr. Platera, pod portretem jego fotel. Z prawej—portret fundatora stypendjum dla młodzieży na emigracji, Krystyna Ostrowskiego i jego fotel.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI:

„Juljusz Cezar”—tragedja *Wiljama Szekspira*. Przekład *Adama Pajgerta*. Reżyserja *Schillera*. Muzyka *Jana Maklakowicza*. Dekoracje i kostjomy *Karola Frycza*.

Zdawało się, że w powodzi tych nazwisk zatraci się, zagubi, zabłąka autentyczny Szekspir, przytłoczony dekoracjami, ogłuszony wrzaskiem trąb i szczękiem blaszanych mieczów, oslepiiony kolorowemi reflektorami. Ale rogata dusza siedzi w starym Wiljampie! Parę lat temu, po przedstawieniu „Achilleis”—dekorator i reżyser mogli, zacierając ręce, powiedzieć: „No, aleśmy zabili Wyspiańskiego!” Z Szekspirem taki figiel się nie udał. Staremu, wyłysiałemu lwu można wprawdzie bezkarnie trochę szerści uskubać, ale pazury pozostaną i nieraz dadzą się we znaki nazbyt spoufalonym mieszkańcom puszczy teatralnej, choćby to były rajskie ptaki i prowodyry wytresowanych ludzkich stad.

Lew obudził się w porę, zanim go obdarto ze skóry, i pokazał kły, naprzód w scenie Senatu i zamordowania Cezara, później—w mowie Marka Antonjusza, aż ciarki poszły po widowni! Był to ten dreszcz tragicznej zgrozy, dreszcz najwyższego patosu, jakiego nie budzi w nas nigdy teatr współczesny, obracający się, jak wiewiórka, w złożonem kole drobnych afer, między gabinetem ministrów, a buduaem kokoty. Przeniesiono nas nagle w świat wielkich namiętności, gdzie najniższą stawką jest życie: o mniejsze się nie gra—w świat, gdzie naszym płucem trudno jest oddychać: za wysokie ciśnienie.

Istotnie—z tej tragedji wyeliminowano wszystko, co może tchnąć popolitością życia; została sama wzniosłość na koturnie. I męczące pytanie: czyja to jest, właściwie, tragedja? kto się w niej zмага i łamie w walce z wrogią potęgą? Juljusz Cezar? on jest raczej ofiarą tajemnych przeznaczeń, tkwiących w każdym czynie człowieka; spisek i śmierć jego, to punkt wyjścia i podłoże dalszego rozwoju wypadków. A zatem, jak ktoś chce—tragedja Brutusa, który, o wolność rzymian walcząc, sam ten Rzym wtrąca w otchłań anarchji, wojny domowej i tyranji?

Pójdźmy dalej jeszcze i powiedzmy, że to tragedja wolności wogóle, tej wolności, w imię której ginęły i będą ginąć miliony, a pod której sztandarem przemycić się zawsze zdoła żądza władzy, autokratyzm, prywata.

Z tej walki tytanów usiłowano gwałtownie zrobić rekordowe widowisko. Do współpracy, poza żywym słowem, powołano: bryłę, barwę, światło, muzykę. Przy każdej nadarzającej się sposobności rozdzierały powietrze przeraźliwe dźwięki trąb. Komu one były potrzebne? nie wiem—chyba kompozytorowi, bo Szekspir napewno z rozkoszą wyrzekłby się

tej kakofonji. Zresztą, jeśli już koniecznie uparto się dawać oprawę muzyczną jednemu z arcydzieł Szekspira, to czy nie należałoby uniknąć tak wielkiej dysproporcji w doborze i zwrócić się bodaj do Karola Szymanowskiego, który napewno trafiłby na ton właściwszy.

O reżyserji Schillera możemy tylko to powiedzieć, że doszła ona do nużącej wprost doskonałości w operowaniu tłumami. Wszystko jest przewidziane do najdrobniejszych szczegółów, każdy efekt wytrzymany z dokładnością co do sekundy; żadnej niespodzianki, żadnego wybryku! Rezultat jest ten, że tłum, nawet wtedy, gdy powinien być tłum, lub powolnem narzędziem gry aktorskiej—arogancko i despotycznie wysuwa się na pierwszy plan.

Tak się rzecz miała podczas mowy Marka Antonjusza, gdzie aktor musiał stoczyć podwójną walkę z tłumem: raz—jako Antonjusz, potem—jako Jerzy Leszczyński. Jako Antonjusz—zwyciężył z woli Szekspira, jako Leszczyński—wbrew przemożnej woli Schillera. Ta popisowa jego rola, od której przed 14-tu laty zaczął swój triumfalny pochód przez sceny polskie, i tym razem wyszła mu na dobre. Kazała mu ona w tym „wielkim” teatrze odnaleźć dawny zapal młodzieńczy, rozmienny na drobne w rólkach farsowych amantów, w których ten świetny artysta zgrywał się zawsze z wdziękiem, humorem i z prawdziwą krzywdą dla swego pięknego talentu.

Inni artyści mieli słabsze przeszkody do pokonania i brali je z rozmaitem powodzeniem, nie zawsze utrzymując się na poziomie swych możliwości. Brutus Adwentowicza, właściwy bohater sztuki, od początku do końca był dziwnie blady, nie bladeścią klasycznych marmurów, ale bezkrwistego zmęczenia. Stępowski w Juljuszu Cezarze dał interesujący zmierech gasnącej gwiazdy pysznego autokraty. W jego interpretacji Cezar był sceptycznym schyłkowcem, który nie zdaje sobie sprawy, że skończył się na długo przed śmiercią.

Wyrazistą, twardą, mocno postawioną bryłę Kajsusza stworzył Samborski. Rzymski żołdak, o geście renesansowego kondotjera.

W dekoracjach nie można było poznać ani Frycza, ani Rzymu. Uporczywa nienawiść do nieba i horyzontu zmieniła tę szekspirowską wizję w koszmar bezsłoneczny, w sen nocy podbiegunowej. Kilka kolumn, rzuconych niekiedy, jak z łaski, nie mogło wskrzesić Romy Cezarów, nawet dla tych, co znają Forum tylko z pocztówek...

Co miały znaczyć w tym świecie kubistycznie potraktowane skały i wnętrza—tego nie podejmuję się uzasadnić.

Szczytem prymitywnej mechanizacji gestów była scena walki na miecze. Można ją, nawet po zdjęciu Juljusza Cezara z afisza, spożytkować, jako żywą reklamę udoskonalonych maszynek do siekania mięsa. Powodzenie zapewnione!

S. P. O

EKONOMICZNE OPALANIE

(Dokończenie)

Wiadomości ogólne o budowie pieców, oraz o własnościach paliwa pozwolą nam zapoznać się z należytą ich obsługą.

Przed napaleniem w piecu należy oczyścić dokładnie palenisko i popielnik z żużla i popiołu (rys. 2).

Na oczyszczony ruszt nakładamy ciekłą warstwę podpałki, a na nią warstwę 6—8 cm. rozdrobnionego paliwa (rys. 3), przyczem należy uważać, by ruszt nie został niem zatkany, gdyż nie byłoby wtedy ciągu i w piecu nie mogłoby się palić! Po nałożeniu paliwa należy zapalić podpałkę, a gdy paliwo się rozpali, trzeba drzwiczki paleniskowe zamknąć, a popielnikowe otworzyć. Gdyby ciąg był zbyt silny (co poznaje się po t. zw. huczeniu), należy nieco przymknąć na krótki czas drzwiczki popielnika.

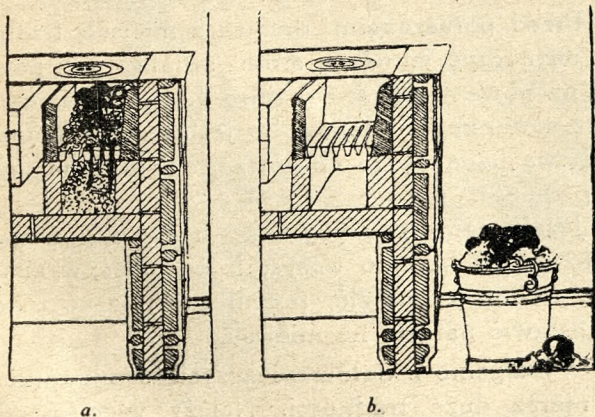
Po nałożeniu świeżej porcji paliwa, należy zaraz zamknąć drzwiczki paleniska, a popielnikowe zostawić otwarte. Gdybyśmy drzwiczki paleniskowe zostawili otworem, to zimne powietrze zewnętrzne, przechodząc przez warstwę węgla — mogłoby spowodować jego natychmiastowe spalanie, i gazy spalania, o bardzo wysokiej temperaturze, uszłyby do komina.

Gdy cała ilość materiału opałowego spali się, co poznajemy po tem, iż światło, rzucane od popielnika, będzie czerwone i słabsze — należy przedewszystkiem rozgarnąć masę spaloną na ruszcie i zamknąć szczelnie drzwiczki paleniska i popielnika — poczem powietrze, przedostające się przez komin, spala resztki tlenku węgla, który jeszcze nie zdołał się spalić.

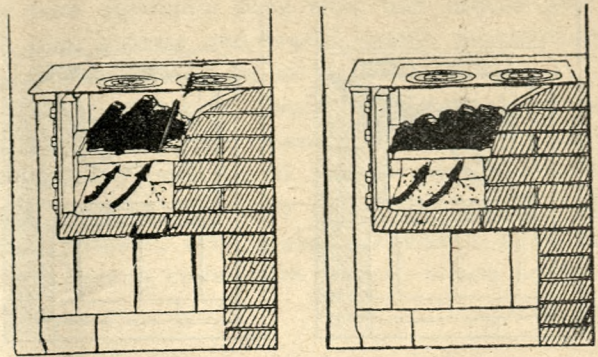
* * *

Palenie w kuchniach odbywa się podobnie, jak palenie w piecach pokojowych.

Ruszt kuchenny ma zwykle mniejszą powierzchnię, bo tylko 200—300 cm.². Gdyby ruszt był większy, należałoby go zmniejszyć, by sięgał załedwie do krańca otworu przedniej fajerki. Używa się do tego kawałka



rys. 2. Oczyszczanie rusztu.
a.—ruszt nieoczyszczony, b.—ruszt oczyszczony



rys. 3. Grubość warstwy paliwa.
a.—warstwa za gruba, b.—warstwa odpowiednia

cegły ogniotrwałej, którą zatyka się, lub² zamurowuje zbędną część rusztu (rys. 4).

Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na sposób ogrzewania naczyń na kuchni. Naczynie powinno być wstawione w głąb fajerki, na 5 cm. wgłąb skrzyni ogniowej — skutkiem tego zwiększa się powierzchnia ogrzewalna naczyń i ogrzanie jego jest pędzse. Wobec tego, iż wysokość komory paleniskowej wynosi około 25 cm., a wysokość warstwy paliwa — 15 cm., pozostaje przeto między dnem naczynia, a górną warstwą paliwa przestrzeń wolna 5 cm. Dodawanie świeżych warstw paliwa powinno być bardzo stopniowe, i nową warstwę można dodać dopiero, gdy poprzednia spali się, lecz jeszcze się żarzy. Przed nałożeniem świeżej warstwy paliwa należy żar rozrzuć. Gdyby kuchnia rozgrzała się zbyt szybko (co być nie powinno), należy drzwiczki paleniskowe zamknąć, a zasuwę komina nieco przymknąć. Wtenczas dostęp powietrza zmniejszy się, skutkiem czego będzie zmniejszenie się płomienia i żaru. Gdybyśmy (jak to się praktykuje obecnie), otworzyli drzwiczki paleniska i zdjęli fajerki, to strata materiału opałowego byłaby bardzo znaczna.

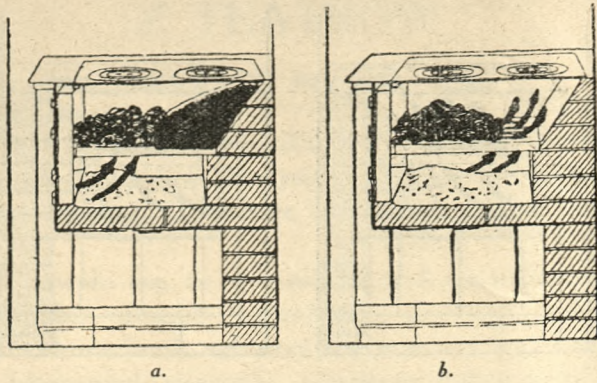
* * *

Wreszcie zajmiemy się paleniem w piecach piekarskich, oraz ich budową.

Przy budowie pieca piekarskiego musimy używać tylko jaknajlepszej cegły ogniotrwałej, oraz wezwać do ustawienia najlepszego fachowca — gdyż piec piekarski jest instalacją kosztowną, a ciepło w nim wytwarza się tak wysokie, iż piec mógłby się wkrótce zrujnować, gdyby nie był budowany z dobrego materiału.

Ściany pieca piekarskiego powinny mieć 65 cm. grubości — chodzi bowiem o to, by ciepło utrzymało się jaknajdłużej, przy możliwie oszczędnym zużyciu paliwa.

Piec piekarski powinien mieć dużo pary wodnej, częścią dla ochronienia skórki chleba od spalania, częścią zaś do rozpuszczenia powstałej dekstryny. Parę uzyskujemy w rozmaity sposób: bardzo prymitywnym sposobem jest lanie wody na rozgrzane



rys. 4. Zmniejszenie rusztu kuchennego.
c. — ruszt za duży, b. — ruszt zmniejszony

cegły, lub też wkładanie do pieca wilgotnych płacht lub mioteł. Obecnie praktykuje się wstawianie do pieca zbiorników z wodą, zaopatrzonych nazewnątrz w lejek do doprowadzania wody.

Im piec piekarski jest częściej używany, tem mniej paliwa do niego potrzeba, gdyż nie stygnie on szybko.

Od budowy pieca, oraz jakości opału zależy ilość wypieku. Drzewo suche, np., jest lepsze, niż mokre, i, oczywiście, mniej go też potrzeba. Również drzewo twarde lepsze jest, niż miękkie: a ponieważ węgiel z twardego drzewa jest w gospodarstwie niezbędny (n.p. do żelazek), przeto drzewa nie palimy na popiół, lecz skoro tylko się zwęgli, natychmiast węgiel gasimy i przechowujemy w zamkniętym naczyniu. Gdybyśmy drzewo spalili na popiół, nie otrzymalibyśmy wyższej temperatury, a stracili cenny węgiel drzewny.

Sposób układania szczap drzewa w piecu jest również rozmaity. Zwykle układa się je w czworobok, czasami w dwa trójkąty, stykające się z sobą w piecu wierzchołkami.

Najlepiej palić w głębi pieca—w celu uniknięcia dymu; aby jednak ogrzać i przód pieca, należy spalić nieco drzazg na przodzie pieca.

Niepodobna ściśle określić, jaka ciepłota jest potrzebna do upieczenia chleba. Zwyczajnie podają ją na 200—250° C. Miarą temperatury jest rozgrzanie sklepienia pieca do białości, lub też zrumienienie wrzuconej do pieca garści mąki. Są też i odpowiednie termometry do pieców piekarskich.

Inżynier Tadeusz Ingwer.

PRZESADZANIE DRZEW STARSZYCH

Większość drzew ozdobnych, a z owocowych szczególnie ziarnkowe, t. j. jabłonie i grusze, można nawet w starszym wieku przesadzać bez obawy, tylko trzeba tę pracę uskutecznić w zimie, przy kilku stopniach mrozu. Drzewa pestkowe, t. j. czereśnie, wiśnie i śliwy, podlegają łatwo gumowaniu; gdy więc podczas przesadzania zakłócimy ich wzrost w starszym wieku (np. powyżej lat 10), to mogą chorować. Śliwy mają dość krótki okres życia, więc nie oplaci się przenosić starszych okazów, co jest zawsze połączone z dość dużym kosztem i kłopotem, a lepiej posadzić młode drzewko.

Pożądane jest wyznaczenie drzew do przesadzenia przed nastaniem mrozów i nakrycie wokół nich ziemi liśćmi, lub nawozem w promieniu około 2 m., żeby ziemia nie zamarzała. To samo należy uczynić w miejscu, gdzie drzewo ma być posadzone, gdyż wówczas kopanie w zimie będzie znacznie ułatwione.

Wciągu zimy zarysowujemy naokoło drzewa, przeznaczonego do przesadzenia, krąg o promieniu od 60 do 100 cm., zależnie od wieku i rozmiarów drzewa przesadzanego, i na obwodzie tej linii kopimy pionowy rów, szerokości 60 do 75 cm., żeby się w nim mógł robotnik swobodnie poruszać. Rów musi być tak głęboki, żeby kopacz dostał się pod najgłębiej leżące korzenie. Wszystkie napotkane korzenie trzeba przecinać tuż przy powierzchni bryły bądź sekatorem, piłą, bądź ostrą siekierą, a po skończonem kopaniu powierzchnię cięcia wyrównać starannie ostrym nożem.

Przygotowaną bryłę wystawiamy na działanie mrozu, żeby należycie stwardniała, bo im lepiej zamarznie, tem bezpieczniej będzie można ją przewieźć i tem mniej drzewo będzie chorowało. Jeżeli ziemia jest sucha, to zaleca się zlanie jej obficie wodą na jesieni, żeby dobrze nasiąkła. Przycięte końce korzeni można zasmarować papką, zrobioną z gliny z krowieńcem.

Przed poruszeniem drzewa z miejsca trzeba na pniu naznaczyć jedną ze stron świata (np. północ), żeby na nowem miejscu drzewo ściśle taksamo ustawić w stosunku do słońca, bo jeśli tego zaniedbamy, to drzewa będą długo chorować, a iglaste mogą nawet przepaść.

Jeżeli mamy większą ilość drzew do przesadzenia, to można kolejno wszystkie wykopać, wyznaczyć strony świata, zamrozić, potem powyciągać z dołów i pozostawić narazie na miejscu.

Wyciąganie z dołów większych sztuk przedstawia nieraz duże trudności. Należy więc w jednym kierunku ściąć kant dołu tak, żeby wytworzyć długi, łagodny odkos, a po ustawieniu bryły na sankach,

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisu Dr. J. Świtalskiej

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (udielikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło zielone.
HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

odkos ten zasypać śniegiem i ubić go, żeby był śliski. W braku śniegu można zalać odkos wodą, żeby go pokryć skorupą lodową. Naturalnie, konie trzeba zakładać do sanek na długim łańcuchu, lub linie, a ztyłu drzewo podtrzymywać, żeby się nie ześlizgnęło z sanek, lub nie straciło równowagi.

Doły, do których drzewa mają być przesadzone, kopiemy w ostatniej chwili, żeby nie zamarzały, ani nie wypełniały się śniegiem i wodą podczas odwilży. Głębokość ich powinna ściśle odpowiadać wysokości bryły, a dno powinno być przekopane. Po ustawieniu drzewa należy wpoprzek dołu położyć długą łatę, żeby się przekonać, czy sztyka korzeniowa drzewa nie znajduje się zbyt nisko, albo czy nadmiernie nie wystaje, choć to ostatnie jest o wiele mniej szkodliwe, niż za głębokie zagrzebanie.

Zasypywać trzeba doły ziemią świeżą, pulchną, nie zmarzniętą, z dodatkiem przetrawionego kompostu (nigdy—nawozu!) starannie wypełniać nią wszystkie szczeliny i mocno udeptywać. Wszystko to nie da się należycie wykonać, jeżeli ziemia jest zmarznięta.

Drzewa o większych koronach, oraz iglaste, stawiające wiatrom duży opór, trzeba zabezpieczyć od pochylenia, albo nawet wywrócenia. W tym celu na-

leży poza obwodem dołu wbić trzy mocne pale i do nich pień drzewa przywiązać linami, zabezpieczywszy dobrze gałganami korę od przetarcia.

Na wiosnę, gdy ziemia roztaje, należy sprawdzić, czy świeżo nasypiana ziemia nie oddzieliła się od bryły, czy się nie zapada i t. d. Jeżeli wiosna, a następnie i lato są suche, to należy ziemię co tydzień, lub dwa obficie polewać, żeby głęboko nasiąkła, a całe drzewo wraz z koroną codziennie zraszać czystą wodą.

Stan. Schönfeld.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KWICZOŁY PIECZONE

Kwiczołów się nie moczy, tylko skubie, na sucho. Wnętrznosci z nich się nie odrzuca, tylko wyjmując z ptaszka, odcina koniec kiszeczeki, resztę wnętrznosci przechowuje nie płuczając, ani myjąc, do dalszego użytku. Lekko osolone wewnątrz i zewnątrz kwiczoły obwiązuje się płatkami słoniny, najlepiej wędzonej, lub od szynki. Piecze się je pod blachą, lub w garnku na blasze, zawsze starannie podlewając tłuszczem, aby się przepiekły dobrze, lecz nie wyschły. Jeżeli kwiczoły są małe, przygotowuje się tyle grzanek, ile sztuk kwiczołów, jeśli są duże—a bywają rozmiaru połowy kuropatwy—dwa razy tyle grzanek. Wnętrznosci kwiczołów należy usiekać jaknajdrobniej, zmieszać z taką samą ilością usiekanej słoninki i przesmażyć do zrumienienia. Grzanki należy zrumienić z obu stron na maśle; jedną stronę posmarować masą z wnętrznosci, ułożyć grzanki na półmisku, na każdej położyć całego kwiczoła, lub połówkę takowego, przykryć płatką upieczonej razem słoninki. Pozostały tłuszcz zaprawić łyżką mąki, rozprowadzić paru łyżkami rosółu lub wody, paru łyżkami śmietany, raz zagotować i podać w sosjerce do kwiczołów. O ile nie podajemy sosu do ptaszków, można w tłuszczu, w którym się piekły, zrumienić grzanki, zamiast je przysmażać na maśle. Można na środku półmiska ułożyć ryż, ugotowany na sypko z masłem, wkoło ułożyć grzanki z kwiczołami, lub też podać do nich borówki smażone, czy jaki kompot octowy.

LEGUMINA Z JABŁEK

Trzy duże jabłka obrać z łupin, rozkrawać na osiem części każde. Trzy żółtka utrzeć do białości z filiżanką cukru. Dwie szklanki mleka zagotować, zaprawić dwiema łyżkami mąki kartoflanej, dodać żółtka z cukrem i trochę utłuczonej wanilji. Formę ogniotrwałą wysmarować masłem, ułożyć paru warstwami jabłka i masę z jaj. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z paru łyżkami cukru-pudru, utłuczonego z wanilją, pianą tą pokryć leguminę i wstawić na dwadzieścia minut w niezbyt gorący piec. Podawać na gorąco w temże samym naczyniu. Zamiast jabłek można użyć gruszek, lub jakiegokolwiek owocu, konserwowanego w Weck'u: śliwek, renklod, lub czereśni.

Pani Elżbieta.



KORESPONDENCJE

Pani L. L. — Wielka Klonia. Odpowiedź na zapytanie Sz. Pani wysłana była podwójnie: pocztą, oraz w nr. 5 „Bluszczu” z dnia 28 I r. b., w dziale korespondencyj.

Pani A. T. — Krasna. Adres Związku Ziemianek w Warszawie: Marszałkowska 149.—Kursa gospodarskie:—Chyliczki. poczta Piaseczno, albo Centralne Tow. Rolnicze, Warszawa, Kopernika 30, sekcja Kół gospodyń wiejskich.

Pani M. P. — Nieszawa. Stora, wyszywana na siatce, podana w nr. 1 naszego pisma z r. b., bardzo będzie odpowiednia do pokoju sypialnego.

Pani M. M. — Myszków. Na premje dajemy poduszki, albo serwetki. Poduszek rozmiar 40 na 56 cm., serwetek—56 na 56 cm. Haft biały, lub kolorowy na białem, lub szarem płótnie; wykwin-tnie rozpoczęta robota z dodatkami, potrzebnymi do jej wykończenia.

Pani R. K. — Lwów. Jak to w poprzednich numerach zaznaczyliśmy, dokładniejszego opisu roboty podać nie można; pro-szę tylko ściśle zastosować się do niego, a robota z pewnością do-brze wypadnie. Wrazie, jeżeli robota szydełkowa nie jest dostatecz-nie Sz. Pani znana, uprzejmie polecamy „100 ściegów szydełko-wych”, świeżo wydanych naszym nakładem. Po otrzymaniu należ-ności 1 zł. 80 gr. znaczkami pocztowymi, wyślemy natychmiast pod wskazanym adresem.

Pani L. D. — Zwolen. Nie wiem, o jaką masę chodzi Sz. Pani; można przekładać pierniki marmeladą, różnemi pomadkami i masami. Mojem zdaniem, najlepsza jest z orzechów włoskich, zro-biona w następujący sposób: 10 dkg. sparzonych i obranych z łupin migdałów słodkich i 20 dkg. orzechów włoskich, zważonych bez skorupki, zemleć razem w młynku, zmieszać z 20 dkg. cukru, wbić cztery żółtka, dwa białka; postawić na wolnym ogniu i mie-szać bezustanku, aż masa zgęstnieje. Wtedy zdjęć z ognia i mie-szać jeszcze do zupełnego wystygnięcia. Tą masą przekładać pier-niki, przyciskając zwierzchu ręką, aby dobrze się zlepiły. Bardzo dobre i trwałe przełożenie.

Pani M. K. — Małe Srocko. Podręcznik do batikowania wydany jest w Krakowie, nakładem Muzeum Przemysłowego (Smo-leńska 9). Żądanych wzorów dostanie Sz. Pani w Warszawie u J. Burofa, Nowy Świat 41, albo u Wadowskiego, Marszałkowska 121.

Pani B. K. — Mołodeczno. Dziecko, które w wieku lat 3 nie może jeszcze siedzieć, nie może być uważane za zdrowe. Czy chodzi tu o niedowład mięśniowy, zaburzenia w układzie nerwo-

wym, czy o chorobę kości, — tego orzec na odległość nie można. Będąc w pobliżu Wilna, ma Sz. Pani sposobność pokazać dziecko lekarzowi na Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem (Mała Pohulan-ka 1), względnie prywatnie, i zasięgnąć porady, czy leczenie kli-matyczne byłoby wskazane.

KONKURS DLA DZIECI

Dowiadujemy się, że znana toruńska fabry-ka pierników i czekolady Gustava Weesego or-ganizuje bardzo pouczający i ciekawy konkurs dla dzieci. Konkurs polega na tem, iż do każdej paczki deserowych katarzynek fabryka dołącza artystycznie wykonane rysunek, który dziecko, biorące udział w konkursie, winno wymalować ołówkami kolorowymi, lub farbami wodnymi, jakie są używane w szkołach. Należy z zadowoleniem podkreślić, iż organizowany obecnie konkurs Weesego nie może być porównany z konkursami, które dotąd były rozpisywane z róż-norodnych okazji, nigdy bowiem w podobnych wy-padkach nie było połączone tak pomysłowo — przy-jemne z pożytecznym. Firma Gustav Weese wyzna-czyła za najstaranniej wykonane obrazki 159 premij, ogólnej wartości 3000 złotych; prócz tego, za specjal-nie artystyczne prace, oczywiście wykonane przez dzieci, właściciele firmy postanowili przesłać wyko-nawcom osobiste nagrody honorowe. Należy wyrazić wielkie uznanie temu, istniejącemu od 165 lat przed-siębiorstwu, iż przez zorganizowanie konkursu dało ono dzieciom tak pouczającą rozrywkę. Konkurs po-siada naprawdę wszystkie warunki, aby wzbudzić za-interesowanie ogólne. Warunki konkursu otrzymywać można we wszystkich sklepach kolonialnych i cukier-nicznych bezpłatnie w kopertach zamkniętych. W każ-dej kope. cie znajduje się także jeden obrazek próbny.

342 b

„O pielęgnowaniu rąk“

FACHOWE RADY I WSKAZÓWKI,
JAK PIELĘGNOWAĆ RĘCE.

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, War-szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„O przyjęciach i stole jadalnym“

ZASADY WYTWORNEGO NAKRYWANIA STOŁU
DLA GOŚCI I W DNIU CODZIENNYM

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, War-szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.